

Krzysztof Urban

DOŻYWOTKA



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

KRZYSZTOF URBAN

DOŻYWOTKA

Copyright by Krzysztof Urban & e-bookowo 2009

Projekt okładki: Krzysztof Urban

ISBN 978-83-61184-31-7

www.e-bookowo.pl

kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

WPROWADZENIE

Książka rodziła się powoli. Prawa rządzące fikcją literacką nadały jej wprawdzie formę, a przecież nie stała się przez to powieścią – takie odnoszę wrażenie. Zbyt wiele tu faktów. Nie mogłem też jej uznać za reportaż, choć zbudowałem ją na wspomnieniach płynących na żywo, opowiadanych w przybliżeniu szczerości przez – nieżyjącego już – szkolnego kolegę, który na początku lat osiemdziesiątych został osadzony w Ośrodku Zewnętrznym Zakładu Karnego, mieszczącym się na obrzeżach jednego z peerelowskich pegeerów. Takich miejsc było wówczas – o czym mało kto wiedział – sporo. Realia związane z życiem i pracą młodocianych przestępców – zimno, brud, brak opieki lekarskiej, a zwłaszcza niewyobrażalny głód – były dla mnie wielkim zaskoczeniem, podobnie jak warunki egzystencji zwierząt, o których przyjaciel opowiadał ze smutkiem (do tej chwili dźwięczy mi w uszach jego łamiący się głos). Pewnego dnia postanowiłem spisać zapamiętane szczegóły ze zwierzeń przyjaciela, by potem systematycznie, po każdej kolejnej rozmowie, zacząć robić notatki. Gdy wreszcie przeczytałem zebrany materiał, odczułem, że nie ma w nim duszy, że brakuje mu czegoś istotnego, co przykuwało moją uwagę w relacjach słuchanych na żywo. Wpadłem na zbawienny pomysł, by skorzystać z magnetofonu. Słuchanie nagrań uświadomiło mi, że równorzędnym bohaterem wspomnień przyjaciela był język, którym opowiadał swą historię – nie język pięknoducha ślizgający się po powierzchni zjawisk, lecz wnikający w esencję język człowieka zmagającego się ze swym losem. Trzeba było więc, słuchając nagrań, nauczyć się oddychać i czuć w tym języku, by odtworzyć czas i miejsce tak odmienne i dalekie, a zarazem tak bliskie.

SANKCJA

Wchodziłem po schodach rozdygotany. Za mną szedł gliniarz. Zastanawiałem się, czy nie dałoby się uciec, ale gdzież tam. Okna zakratowane, wąskie schody z poręczami do sufitu, na dole dyżurka pełna mundurowych. Chęć miałem i pewnie zapisałbym duszę diabłu, żeby tylko nie oglądać tych lastrykowych stopni i ścian pomalowanych olejną farbą, ale widać, los chciał mnie doświadczyć. Szansa była, ale czy warto brać się za coś, co nie wypali w stu procentach? Może coś bym wykombinował, ale ten za plecami? W dodatku głowy i kości nie miałem w najlepszej formie po wczorajszej zabawie. Nie dałbym rady przewrócić nawet dzieciaka, to o czym tu myśleć, kiedy kark grzał mi oddech dobrze zbudowanego osiłka.

Po co pakowałem się w to szambo? Szedłem z kolegą ulicą, zapytaliśmy jakiegoś gościa o godzinę i po chwili wywiązała się bójka. Nawet nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Kto zaczął i po co. Później zacząłem uciekać, nagle przewróciłem się, zrobiło się ciemno i znalazłem się na komisariacie.

Koledzy z osiedla opowiadali mi czasem, że znaleźć się w kryminale, gdzie sypia się na piętowych łózkach, gdzie do łaźni chodzi się raz w tygodniu, a za potrzebą trzeba stać w kolejce, to nie to samo co wczasy nad morzem. Dla mnie był to świat odległy i nierealny chociaż otarłem się już o niego. Czy los się na mnie uwziął i chciał mnie doświadczyć bardziej niż innych?

POWITANIE

Nie tylko ja byłem zdziwiony. Oczekiwaliśmy wielkiego muru, kogutów, a tutaj jak u Pana Boga za piecem. Na środku placu kwietnik, asfaltowe alejki, niewielkie domki jak dla dużych krasnoludków i wszędzie rozkwitająca zieleń. Całą grupą poszliśmy do podłużnego budynku. Weszliśmy do środka, a tutaj następna niespodzianka. Telewizor, gry, stoliki i krzesła. Nie wiedziałem, czy jestem na kolonijnej stołówce, czy w więzieniu. Nikt nas nie pilnował, niczego nie kazał. Porozsiadaliśmy się na krzesłach i czekaliśmy, co będzie dalej.

Czas mijał. Nikt po nas nie przychodził. Chciało mi się jarać, ale wszędzie wisiły tabliczki zabraniające palenia. Nie chciałem ryzykować i narażać się na mordobicie: gdyby tak któryś z tutejszych mądrali przypalił mnie na gorącym, zaraz byłaby poruta. Nie liczyłem na to, że tutejsi klawisze są łagodni. Wszędzie byli tacy sami. Nie rozumiałem, dlaczego strażnicy ciągle uprzykrzali innym życie. Nie spotkałem klawisza, który przyłapałby złodzieja na łamaniu regulaminu i nie skorzystał z okazji, żeby mu dokopać.

Łaziłem koło okien i popatrywałem na zewnątrz. Cisza i spokój. Za bramą przetaczała się leniwie furmanka, na której siedział złodziej i poganiał konia. Zachodziło słońce. „Co to jest?” – myślałem. „To miał być ponury kryminał?” Niczego nie rozumiałem, ale cieszyłem się jak dziecko. Zamknięty w lodowie przez cały dzień myślałem, że nic dobrego mnie nie spotka. Teraz patrzyłem na łagodne zbocza górskie, na domki ze szpiczastymi dachami i myślałem, że życie nie jest takie najgorsze. Raz jest lepiej, innym razem gorzej ale ogólnie idzie żyć. Najprzyjemniejsza z tego wszystkiego było gapienie się w przestrzeń. Czuję się tak, jakbym wypił szklanekę wina. Ostatnio oglądałem tylko ściany małych cel, a na spacerach, jak chciałem wyjrzeć na świat, gały rozbijały się o mur. Na wolności też nie było jakoś okazji, żeby tak stanąć, zastanowić się i popatrzeć. Ciągle tylko knajpy, kawiarnie, chętne panienki. Życie jak na karuzeli: co chwilę w tym samym miejscu i kupa bzdurnego chachania.

W oknie jednego z domków stał jakiś złodziej i nawijał coś na rękach. Nie umiałem czytać mowy pisanej dłońmi. Odwróciłem się i zapytałem, czy któryś gada witami. Na szczęście znalazł się jeden. Podszedł do okna, stanął obok i zaczął wykrzywiać paluchy. Po chwili powiedział, że pytają nas, skąd przyjechaliśmy. Trwało to trochę nim pokazał na palcach, skąd się wzięliśmy. Robiło się nudno. Przestało mnie interesować o co pytają.

Pomyślałem o domu. Nastrój wywołany krajobrazem zniknął. Denerwowało mnie, że nie wiem, gdzie jestem i co będzie dalej. Ale w kryminale każda chwila jest niewiadomą. Człowiek myśli, że już jakoś ułożył sobie życie, zorganizował kąpiel, ma wafli, a tu nagle przychodzi obcy człowiek, każe zwijać mandżur i goni do innej celi albo wsadza do samochodu i każe jechać na drugi koniec Polski. Nie ma na to silnych. Trzeba dostosowywać się, albo wypada się z gry, zupełnie jak z darwinowską ewolucją: nieprzystosowani do chasiora.

Wreszcie przyszedł jakiś mundurowy i wyczytał nazwiska. Ci, których wymienił, zostawali, reszta na samochód. Było już ciemno. Nie miałem ochoty nigdzie się ruszać. Podobało mi się w tej świetlicy. Zamiast muru siatka, złodzieje mieszkali w domkach, telewizor. Szkoda. Lecz jakie miałem wyjście? Przygnębiony wyszedłem na dwór i wgramoliłem się na Stara z plandeką. Zupełny odjazd. Było nas dziesięciu. Nikt nas nie skuwał, nie zamykał w drucianych klatkach, żadnej eskorty. Wyjechaliśmy za bramę z rozdziawionymi gębami. Nic mi się nie zgadzało. Przecież wystarczyło przełożyć nogę za burtę pędzącego samochodu, jeden skok i już mnie nie ma. Wkoło pełno lasów, ale gdzie uciekać? Wszystko obce, żeby choć w pobliżu mieszkał jakiś ziomek, to jeszcze. Człowiek przycupnąłby na parę dni, dał znać do domu i jakby dobrze się ułożyło można by pochodzić parę lat po wolności. Tylko czy warto? Widziałem już, jak jeden z moich kolegów, Fijoł, ukrywał się. Gdy szedłem z nim ulicą, rozglądał się co chwilę i wpatrywał, czy w pobliżu nie kręcą się gliniarze. W domu nie spał, bo bał się, że mogą go śpiącego wyjąć z pościeli. Miał kasę, to jeszcze dawał sobie jakoś radę. Wyjeżdżał w teren, powywijał, coś ukradł, a jak dobra passa się kończyła, wracał do Słupcy i łaził po kumplach. Opowiadał wtedy o swoich skokach, bajerował i udawał, że wszystko jest glans pomada. Kolesie wspomagali go, bo przecież to swój człowiek, ale jak wyczuli, że jest pusty, odbijali od niego szybko i mówili, że sami mają kłopoty.

Nikogo tutaj nie znałem. Siedziałem przy tylnej burcie Stara, odchylałem plandekę i rozglądałem się. „Co za okolica?” – przemknęło mi przez głowę. Wszędzie ciemno, ani jednego światełka. Liczyłem, że może zobaczę drogowskaz, ale nawet gdyby gdzieś tam stał, było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Byłem zmęczony. Marzyłem o spokojnym miejscu, byle jakiej koi i spaniu do rana. Trzy lata do odsiadki. Nie warto było chować się jak szczur i wciąż myśleć, kiedy mnie złapią. Co bym zresztą robił? Nie byłem bandziorem z krwi i kości. Pracowałem, czasem wypilem jak inni, spotykałem się z dziewczynami, ale żeby jakiś przestępczy świat, życie ze złodziejstwa? Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość.

PRZYDZIAŁ

- Umiesz gotować jajka?

To były pierwsze słowa jakie usłyszałem od naczelnika pawilonu. Stałem przed nim wyprostowany; nie, nie na baczność – w więzieniu nie musztrują według regulaminu wojskowego, wystarczy stać jako tako sprężysto i zameldować się: „obywatelu poruczniku, skazany Adam Ciechań melduje swoje przybycie”. Taką formułkę trzeba było wyrecytować, kiedy władza wzywała. Gdy ktoś sam chciał zobaczyć się z kimś na górze, musiał jeszcze dodać: „i prosi o wysłuchanie”.

Na Łękach naczelnikiem był pułkownik, ale w tym kurniku widocznie wystarczył porucznik. Niższy stopień, mniej główkowania. Zresztą, co on tutaj miał do roboty? Siedział sobie w pokoiku naprzeciw dyżurki, wygodny fotel, biurko, szafa pancerna pełna jakichś papierów, trochę ponawijał ze złodziejami, postraszył ich albo naobiecował złote góry. Umiał gość zagadać, odkryć czuły punkt człowieka i rozbudzić nadzieję na szybkie wyjście. Położył nawet przede mną paczkę szlucgów i powiedział, że mogę je sobie wziąć, ot tak, za nic. Znałem te sztuczki z komendy. Zgrywał dobrego tatusia, który pragnie mojego dobra. Obłąskawić, rozczulić, a wtedy nijak odmówić współpracy, chociaż takiej niewinnej, kilka zdań, nazwisk, przecież nic się nie stanie.

Umiałem gotować jajka i nawet przyrządzić co nieco. Byłem po zawodówce kucharskiej i pewnie mieli to zapisane w moich aktach. Co prawda, nie zdążyłem jeszcze złapać drygu w tym fachu, ale praktyki przez trzy lata po różnych knajpach czegoś mnie tam nauczyły. Co to były za czasy? W szkole same dziewczyny, a nas, chłopaków, tylko pięciu. Było z czego wybierać, ale jakoś żadna mi nie leżała. Kucharki chyba z natury rzeczy niewiele mają w sobie prezencji. Za to na praktykach, w knajpach, jak spojrzęło się na kelnerkę, od razu robiło się gorąco. I nawet chętne były. Jak się udało jakąś zbajerować i zamelinować gdzieś w magazynie, na worach z mąką, to nawet nie musiała się rozbierać. Zawsze chodziły w krótkich spódniczkach. Ale cóż, dobre czasy minęły. Teraz mogłem sobie pomarzyć.

Zaczynałem być w niezłym nastroju. Sądziłem, że to dobry znak, jeśli naczelnik pyta mnie o gary. Widziałem już siebie w kuchni. Każdy mówił, że najlepsza fucha w

wojsku czy w kryminale, to robota na kuchni. Ciepło, bebechy pełne i jeszcze można zahandlować. Tutaj też pewnie szfindlowali. Napatrzyłem się po kuchniach, jakie przekręty robiło się na żarciu. Życie nie było łatwe. W sklepach zawsze pustki, ze wszystkim trzeba było kombinować. Dawniej, na kuchni, jak tak czasem udało mi się podprowadzić kurczaka szefowi, na pniu go sprzedawałem i jeszcze człowiekowi się kłaniali, prosząc o więcej.

Na śledczaku ciągle chodziłem głodny. Szamka, że tylko rzygać. Modliłem się w duchu i czekałem, kiedy naczelnik powie, że od jutra idę pracować na kuchnię. Ale on ani myślał mnie rozpieszczać. Spytał mnie, czy grypsuję. „No to żegnaj, kuchnio” – pomyślałem. Jak chłopcy z atandy ganiali nas po placu, widziałem go dobrze, jak stał w oknie swojego pokoiku i przyglądał się. Nie mógł nie widzieć, którzy z nas się wyłamali. Może chciał potwierdzenia, tak sam na sam, bo człowiek w grupie inaczej, a solo też na inną nutę. Sprawdzał, czy będę miał odwagę powiedzieć mu prosto w oczy, że należę do podkultury więziennej. Czasem to oni potrafili podkręcić jakiś bajer, który mi się podobał. „Odstąpić od ukarania, przywrócić społeczeństwu, podkultura więzienna, troska o skazanego i jego resocjalizacja”. Dobrze było mieć w zanadrzu takie powiedzonko i wyjechać z nim podczas rozmowy.

Powiedziałem mu, że grypsuję, a ten z drugiej strony.

– A czy na pewno wiesz, co to jest i jak się tym je?

Zaskoczył mnie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zauważył w jakim jestem stanie, ale nie dorzucił do ognia. Zostawił mnie na chwilę z moim zakłopotaniem i odwrócił się do okna. Nie miałem zielonego pojęcia, czym jest grypsowanie. Słyszałem o jakichś obowiązujących zasadach i przestrzeganiu ich, ale szczegóły były dla mnie dopiero przyszłością. Z urywków zdań, zasłyszanych rozmów, tydzień po tygodniu, świat, gdzie się grypsuje, odkrywał przede mną swoje tajemnice. Złodzieje myśleli, że jak się powie „grypsuję” – to już wiadomo, że taki ktoś musi wiedzieć, o co chodzi i znać zasady. Nikt mi nie tłumaczył, na czym to polega.

Naczelnik patrzył w okno, ziewał i powiedział, niby od niechcenia, że do kuchni się nie nadają, bo jedzenie mogłoby przejść grypsowaniem i kto wie, czy poprawni więźniowie nie struli by się od tego.

– Zresztą na kuchni jest zbyt nudno – mamrotał – mam coś dla ciebie lepszego. Grypsujący, to ludzie twardzi i silni, i należy im się coś porządnego.

Nie miałem wówczas pojęcia, o czym mówi, ale pewnie nie szykował dla mnie miejsca w sanatorium. Wkrótce przekonałem się, że praca, do której mnie przydzielił, mocno wchodziła w kości.

Rozmowa była zakończona. Odmeldowałem się i wyszedłem z przydziałem do grupy polowej. Wróciłem do sali. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać. Nawet gdyby była herbata, pewnie bym się nie napił. Usiadłem na ławie przy stole i zacząłem rysować kalendarz. Najpierw dwanaście prostokątów, potem znów dwanaście i na koniec taka sama porcja. Trzydzieści sześć prostokątów z małymi kwadratami wyglądało na kilku kartkach niezłe. Talentu do rysowania nie miałem, ale linie wyszły równe, cyfry były zgrabne i wcale nie kojarzyły się z trzyletnim wyrokiem, a raczej z jakąś łamigłówką. Najlepszy był moment, gdy za jednym zamachem odfajkowałem ponad setkę odsiedzianych dni. Śledczak był już odfajkowany, ale to tylko cztery miesiące, wiedziałem, że następne kwadraty nie będą znikać tak szybko.

GRYPSOWANIE

Nikt mi nie mówił, kto szpaci na ozecie, a jednak instynkt mnie nie mylił. Bezbłędnie odgadłem, że Michał jest tu pierwszy i ma najwięcej do powiedzenia. Gdzieś tak po dwóch tygodniach od przyjazdu zawołał kilku chłopaków z naszego transportu na bajerę. Zdążyłem się już przyzwyczać do chodzenia z sali do sali. Na początku jakoś tak z nawyku nie ruszałem się z miejsca. Zdawało mi się, że nadal jestem pod celą na śledczaku i tylko zgrzyt zamka podrywał mnie na nogi i zmuszał do ruchu.

Sale na całym pawilonie wyglądały jednakowo. Jak równość to równość. Administracja tak wymyśliła i złodziej nie miał prawa niczego zmieniać. Zresztą po co? Jak by tak każdy urządzał się na własne kopyto, zaraz zaczęłyby się porównywanka. Tam ładniej, tu gorzej, zazdrość, a na końcu mordobicie. I tak było pełno powodów, dla których niejeden miał chęć utopić drugiego w bardachu. Odstęp od normy, a zaraz znajdą się tacy, co będą skurwysyńsko zezować. Taki Kazik na przykład. Na wolności był krawcem. Jak dostał więzienny gajerek, zaraz go zaczął przerabiać, dopasowywać do swoich gnatów i wyszedł z tego całkiem niegłupi przyrodziew. Inni też zaraz chcieli mieć podobne, ale to kosztowało. Niedrogo, ramka szluców, parę szufladek herbaty, albo coś z szamki. Nie każdy miał, a zazdrość brała. Zakapowali chłopaczną do naczelnika, że kombinuje. Zabrali mu wypiskę na trzy miesiące. Dobry był z niego złodziej. Nie grypsował, ale trzymał się porządnie. Czasem żał było patrzeć, jak sam siedzi w kącie i je kolację. No bo ani przy blacie z grypsującymi, ani z frajerami. Wywinął jakiś numer, ale dokładnie nikt nie wiedział, co i jak. Poprzedni szpaciociel zabronił mu grypsować, poleciał w transport, a Paweł nie bardzo chciał go podnieść na grypsującego, bo nie znał sprawy. Schować do wora łatwo, ale skiciorować trudniej. Trochę śmiesznie brzmiało, jak podnosili do grypsowania jakiegoś chłopaka. Padała wtedy formułka: „W kicior co do ciebie” i z nie grypsującego robił się człowieczyna w porządku. Zupełnie jak czarodziejskie zaklęcie.

Żelazne, dwupiętrowe łóżka stały w rzędzie pod oknem. Niezła była z nimi robota. Po zasłaniu musiały wyglądać jak spodnie wyprasowane do kantu. Prześcieradło wywinęte na brzegi koca, poduszka wyrównana, w nogach czyściutka platerka złożona w trójkąt i

żadnych zmarszczek czy dołów. Jak złodziej pościelił na wariata, po powrocie z tyрки miał kwit i rozbebeszone kojo do spodu.

Na ścianie, po lewej i prawej stronie od wejścia, wisały szafki na żarcie i osobiste rzeczy. Tylko to było takie gadanie. W kryminale nie ma niczego prywatnego. Rzeczy osobiste? Owszem, ale jedynie jak złodziej potrafił sobie wyobrazić. Pierwszy lepszy mundurowy, kiedy miał ochotę, mógł przewiskać szafkę, uznać cokolwiek za trefne i zrobić z tym co chciał. Ale mało tego. Niejeden, jak wrócił z roboty, a trzymał fajki w szafce, nie zobaczył ich już nigdy. Złodziej złodziejowi podprowadzał, co się dało.

Nad drzwiami wisiał głośnik radiowęzła, popularna betoniara. Tutaj, na ozecie, można było nawet czasem posłuchać porządnej muzyki. Na śledczaku puszczały tylko pierwszy program i słuchowiska. Rzygać się chciało od ciągłego słuchania wiadomości i jakichś porąbanych pogadanek. I żeby chociaż mówili o różnych rzeczach, ale nie, wciąż to samo. Nad socjalizmem zachwyty, a cała reszta to kurestwo. Kawalki o umiejętnym zachowaniu w różnych sytuacjach życiowych dawało się jakoś przełknąć, ale odnosiłem wrażenie, że ci z administracji mieli chyba złodziei za stado baranów, które potrafi tylko żreć i chodzić do kibla. No bo jak zaczynali nawijać, że przy stole to trzeba siedzieć tak, a nie inaczej, z krzesłem obchodzić się według ustalonych prawideł, nie siorb, nie mlaskaj, widelec w lewej, nóż w prawej i może jeszcze żeby knaga nie stała, bo stół się uniesie i kulturalne towarzystwo popłami sobie przyodziewę, to co o tym myśleć? No dobra, to jeszcze przechodziło, mógł przecież trafić się jakiś złodziej z wiochy zabitej dechami, który widział tylko wóz i brony, a żarcie posuwał drewnianą łychę z gara. Ale jak usłyszałem o moralności socjalistycznej i jakimś internacjonalizmie, kichy się przewracały. Mnie nie obchodził ustrój, że rządzi ten czy tamten, tylko jak ktoś wciskał mi ciemnotę, że wszystkim jest dobrze i niczego nie brakuje, a na dodatek, że wszyscy myślą jednakowo, to miałem ochotę zajebać czymś w betoniare, żeby nie kadziła. Na ozecie nie świrowali już z pogadankami i nawet często puszczały trzeci program i człowiek mógł posłuchać Cepelinów albo Epitafium King Krimzon. Co to była za muzyka! Włosy stawały dęba, a wewnątrz to aż coś płakało.

Na środku stały dwa wielkie stoły pociągnięte szarą, olejną farbą. Do tego solidne ławy w takim samym kolorze, kilka taboretów i w rogu chasior na fajans.

Kiedy tylko wszedłem na salę, wydało mi się, że jest to spotkanie inne od normalnych. Zwykle złodzieje siedzieli przy stole albo na taboretach. Do apelu wieczornego był zakaz siadania na łózkach. Czasem ktoś klapnął na koi, ale ogólnie złodzieje unikali podpadek. Nikt nie chciał za głupotę zaliczać kwitów. Potem naczelnik

zabierał korespondencję, wstrzymywał wypiskę albo wysyłał na dwa tygodnie na dechy. Ale chyba najbardziej człowiek się pilnował z raportami, ze względu na wokandę. Było nie było, każdy kwit oddał od warunku. Ja sam, mimo, że miałem chwilę, kiedy wszystko mi wisało i za nic nie sprzedałbym skóry za wcześniejsze wyjście, po cichu liczyłem, że może jednak uda się jakoś urwać przynajmniej kilka miesięcy i zamiast w pegeerze cieszyć się życiem na wolności.

Obok Pawła siedział Piotr. Obydwaj przylecieli z karniaka w Bigoszczy. Jak się dowiedziałem, że mają za sobą już dwa lata, trochę im zazdrościłem. Do wolności zostało im dwanaście miechów, a mnie taki kawał czasu. Na każdego jednak przychodzi pora. Kiedy kręciłem się za panienkami i piłem dobre piwo, oni w tym czasie przeżywali smutniak i pili gorzką kawę z buraków. Kurewska mać, samo życie, jedni to, drudzy tamto.

Paweł był szczupły, wątki, gadanę miał wolną, jakby zastanawiał się nad każdym słowem. Zawsze mówił konkretnie. Facet z jajami. Nie był taki narwany jak ja, ale gdyby tak do czegoś doszło, wołałbym mieć jego za plecami, niż jakiegoś kozackiego krzykacza z wielkimi bicepsami. Jak coś truknął, to święte: zdecydowanie i stalowa wola.

Piotr był zupełnie inny. Blondyn, z metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany, nie mógł usiedzieć na miejscu. Ostry złodziej. Jak ktoś mu wszedł w drogę, to się nie opalał, walił w ryja i patrzył, czy nie poprawić. Był prawą ręką Pawła, czymś w rodzaju osobistego goryla. Paweł pracował głową, Piotr mięśniami.

Na taborecie, pod oknem, między łózkami, stał słoik z zajechnym czajem. Taboret elegancko przykryty białą platerką, ramka szlugów, prawie jak na przyjęciu urodzinowym. Paweł nie wołał nas, nawet nie kiwnął ręką, ale gdy spojrzałem na niego, wiedziałem, że nas zaprasza. Miał wycucie. Nie dał człowiekowi stać jak pęta, co to wchodzi do obcej sali, nikogo nie zna, rozgląda się, miota i nie wie, co ma ze sobą zrobić. Usiadłem naprzeciw niego i wcale nie byłem skrępowany. Chciałem go zapytać, czy mogę wziąć papierosa, ale on uprzedził mnie. Poczęstował fajkami wszystkich po kolei. Piotr rozlewał herbatę. Odkręcił lekko wieczko, tak by nie wypadały fusy i przechylił słoik. Do takich chwil ciągnie chyba bez przerwy. Zapach herbaty, pół litra na stole, kino, zakupy, poker albo zbijanie kabzy to były ludzkie rzeczy, dzięki którym człowiek zaznawał odmiany, a codzienna harówka nie zabijała.

Uczta się zaczęła. Zaciągałem się i czekałem, kiedy przepłuczę sobie gardło herbatą. Dym zagęszczał się coraz bardziej. Jak tak sześciu chłopów na raz zacznie palić, to jeszcze idzie wytrzymać, ale gdy wszyscy przyjarają, to siekiera w powietrzu. Można wietrzyć, otwierać okna, kiedy na dworze jest ciepło. Zimą złodzieje woleli kisić się w dymie, niż

dygotać pod kocami z zimna. Chłodu to każdy miał w bród w pegeerze. Kozuchów nie dawali, a praca w cienkiej kurteczce gdzieś w górach przy kurewskim mrozie, albo ostrym wietrze wcale nie rozgrzewała.

Pierwszy zaczął pić Paweł. Nim oddał bajzelek następnemu, zapytał:

– Chyba wszyscy grypsują?

– Ma się rozumieć.

No tak, tylko skąd Paweł mógł wiedzieć, że tak jest. Zresztą nigdy nie ma pewności, czy ktoś po cichu nie kapuje. Długo nie byłem na ozecie, ale coś tam już wiedziałem. Jeden dzień w tygodniu każdy złodziej miał wolne. Bydlaki i świny w pegeerze żarły piątek świątek i złodzieje jeździli do roboty przez okrągły tydzień. Klawisz miał grafik, ile który przerobił i codziennie ktoś szedł na wolne. Tak było we wszystkich grupach. Do tego zostawali jeszcze chorzy, tacy naprawdę i symulanci. Codziennie na pawilonie kręciło się kilkunastu chłopaków. Tylko w niedzielę był spokój: widzenia z rodzinami, a naczelnik miał wolne. Ale w normalny dzień wszyscy ci, którzy nie szli do tyrki, odwiedzali pokoik naprzeciw dyżurki.. Wiadomo, o czym naczelnik podkreślał: ciągle na jedną nutę. A przestań, a po co ci to, grypsowanie to dziecinada, a jak już musisz to powiedz chociaż, co tam w pracy, na ozecie, czy nikt nie planuje ucieczki, a może ktoś komu dokucza, wysyła na lewo grypsy? I co? Może wszyscy mieli twarde dupy?

Słoik z czajem poszedł w ruch. Upijaliśmy po łyeczku, bo inaczej się nie dało. Wrzątku i tak nikt by więcej nie upił, a chciało się – na zapas. Idę o zakład, że żaden z naszego transportu nie powiedziałby, kiedy znów trafi się taka okazja. Jak już było, to lepiej sparzyć sobie gębę, a wypić więcej od innych. Zimnego się nie dało, bo zaraz brało rzyganie i całą przyjemność szlag trafiał.

Piliśmy i nikt nic nie mówił. Dopiero gdy skończyła się pierwsza porcja, odezwał się Paweł. Był zadowolony, że w naszym transporcie nie było prawie frajerów. Dodał, żebyśmy uważali na nawijkę i w ogóle, na to, co robimy.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).